

M

MUZYKA ŁAGODZI OBYCZAJE

WZRUSZENIA MELAN- CHOLIJNE

JERZY WALDORFF

KIEDY się zastanawiam, gdzie jeszcze chciałbym mieszkać, gdybym miał opuścić Warszawę, to najpierw myślę o rodzinnym Poznaniu, ale zaraz potem o Wrocławiu. Nie tylko dlatego, że dzięki swej zabudowie, a później rozbudowie, posiada zarazem charakter miasta za bytkowego i nowoczesnej metropolii o szerokim oddechu. Hm!... Pamiętam, jak gwałtownie przed kilku laty natarłem na prezydenta Wrocławia za zgodę na zburzenie czcigodnie starożytnych Młynów św. Klary. Teraz mi tych Młynów dalej żal, ale mniejszy, gdy widzę, jakiej parady ustąpiły magistrali z rozmaczem przecinającej miasto w poprzek. Jeżeli jeszcze obudowana zostanie równie udaną architekturą współczesną!

Nie to jednak stanowi o wielkiej atrakcyjności Wrocławia, lecz raczej jego energia kulturalna, promieniująca stamtąd przede wszystkim od murów Ossolineum. Jakże błogosławiona w skutkach była decyzja o przeniesieniu ze Lwowa, Narodowego Zakładu im. Ossolińskich właśnie do Wrocławia! Jak rad z bomby kobaltowej, tak na Wrocław ją oddziaływać najintensywniejsza polskość z ossolińskich starodruków, z rękopisów „Pana Tadeusza” Mickiewicza, „Testamentu” Słowackiego, komedii Fredry, „Chłopów” Reymonta. Z tego narodowego polskiego epicentrum wyszła na Wrocław siła,

co pozwoliła rosnąć uniwersytetowi, narodzić się teatrom Grotowskiego i Tomaszewskiego, miejscowej filharmonii zdobyć najtrwalej przywiązaną publiczność, także młodą zmieniającą warty z pokolenia na pokolenie. Opera, PWSM z pierwszym w kraju Wydziałem Terapii Muzycznej, chóry, festiwal „Wratislavia Cantans”...

Co się mnie tyczy, jechałem tym razem do Wrocławia w podwójnym celu. Najpierw do miejscowego Teatru Muzycznego, na premierę nowego polskiego musicalu „Błękitny zamek”, a połączono to z uroczystym pożegnaniem dyrektorki Barbary Kostrzewskiej, która — zakończywszy świetną, ale i trudną karierę — powraca do Warszawy. Nie do wiary! Ta mała Basia... Mechanizm naszej pamięci ma to do siebie, że jeżeli zafascynował nas ktoś w swej młodości, już go widzimy potem młodzieńczością przez długie lata i mechanizm ów nie dopuszcza od zewnątrz informacji, że nasz idol tymczasem... Zresztą — przysięgam! — Barbara Kostrzewska jest nadal tak samo, rzekłbym: metafizycznie młoda, jak pamiętam ją, gdy zadziwiła Warszawę u progu II wojny światowej kreacją Małgożaty w „Faustie” Gounoda.

Później były lata wyrwane z życia naszemu pokoleniu i znów Barbara ją brylowała, jako czołowy sopran liryczno-koloraturowy, najpierw ze sceny Opery Śląskiej, następnie Poznańskiej i jeszcze na krótko, za dyrekcji Bierdiajewa, w Operze Warszawskiej. Że była też piękna i nadzwyczaj elegancka więc, przejąwszy tę rolę od Ewy Bandrowskiej—Turskiej, budziła szczególne zachwyty jako Violetta z „Traviaty” Verdiego.

Po śmierci Bierdiajewa w 1956 r., skutkiem fatalnych powikłań losu, primadonna operowa musi przenieść się na teren operetki, dyktując najpierw w Operetce Lubelskiej, gdzie miała sytuację mało korzystną i przyjemną. Dopiero kiedy przed 13 laty zaproszono ją do Wrocławia, mogła na terenie Operetki Dolnośląskiej, przekształconej później w Państwowy Teatr Muzyczny, realizować zamierzenia ambitne w tej lżejszej strefie artystycznej.

Do obiegowego repertuaru sztuk kasowych Pani Dyrektor włącza co pewien czas co ciekawsze pozycje nowe polskie. Dzięki temu Wrocław słyszy i ogląda musical „Kariera Nikodema Dyzmy” (A. Chundziak, J. Słowiński, St. Powołowski), wzruszający memoriał pieśni wojennej „Dziś do ciebie przyjść nie mogę” (A. Chundziak, I. Kanicki), śpiewogrę „Krakowiacy i Górale” (J. Stefani, W. Bogusławski), w inscenizacji Bronisława Dąbrowskiego.

Aliści szczególną zasługą Kostrzewskiej — z perspektywy, w dziedzinie musicalu „historyczną” — było

namówienie Ernesta Brylla, żeby wspólnie z kompozytorką Katarzyną Gaertner, napisał musical ludowy, dzięki czemu powstało „Na szkle malowane”, przyjęte później przez Teatr Polski w Warszawie i do dzisiaj grane z sukcesem. Na swoje zaś odejście z Wrocławia pani dyrektor Barbara zamówiła u drugiej Barbary, uzdolnionej pisarki Wachowicz musical osnuty na tle starej anglosaskiej powieści, z gatunku zwanego ongiś „romansem”, napisanej przez autorkę kanadyjską L. M. Montgomery pod tytułem „Błękitny zamek”.

Urodziła w stylu retro pani Wachowicz, która znana jest w środowisku literackim z tego, że ubiera się wyłącznie na fioletowo i nawet pisze tylko fioletowym abramentem — nie zraziła się kanadyjskim błękitem, tytuł „Błękitny zamek” pozostawiając musicalowi, któremu oparę muzyczną dodał Roman Czubaty, zaś teksty piosenek Krystyna Ślaska. W rezultacie powstała raczej komedia muzyczna, zgrabnie zbudowana, bo napięcie akcji rośnie prawdziwość aż do szczęśliwego rozwiązania, o wielu miłych melodiach czerpanych z wielu źródeł, z czym się zresztą p. Czubaty nie kryje. Sądząc po dobrej budowie ansamblów śpiewanych oraz po instrumentacji, musi to być kompozytor wykształcony, więc pewno wiedział, ile dla uciechy moźnych swego czasu, z dorobku kolegów ściągali np. Bach i Mozart, przeto trzymał się wzorów niezłych!

Myślę jednak, że gdyby z nadmiaru muzyki Czubatego trochę zrezygnować i ten musical wystawić we wnętrzu lepszym akustycznie (wrocławskie jest potwornie!), z udziałem najlepszych aktorów dramatycznych, którzy z powodzeniem mogliby piosenki tylko nucić — „Błękitny zamek” miałby szansę stać się dużym szlagierem lekkich scen, może nie tylko polskich.

Wszyscy śpiewacy, tancerze, scenografia, także orkiestra — byli przyjemnie we Wrocławiu poprawni, a tak licząc, że w dobrej oszczędności papieru wymienić ich po nazwiskach nie mogę.

Drugim celem mojej wyprawy nad Odrę był jubileusz trzydziestu lat śpiewania tamtejszego Chóru Polskiego Radia i Telewizji, od 23 lat prowadzonego przez świetnego chórmistrza Edmunda Kajdasza, który — zadziwiająco pracowity! — umiał nadto, bokiem niejako, stworzyć i wyprowadzić na szczyty wokalistyki dwa inne tamtejsze chóry: Cantores Minores Wratislavienses oraz dziecięcy Skowronków Wrocławskich.

Chór radiowców, w cudownie akustycznym studiu wrocławskim, sły-

szalem pierwszy raz jakoś chyba tuż po roku 1950, kiedy nim kierował Stanisław Krukowski. Wrocław był jeszcze wtedy pełen gruzów i nadziei, dzisiaj zrealizowanych, więc mniej cieszą. Już taka jest natura ludzka, zwłaszcza polska, cała w nadziejach i niezadowoleniu z dokonań. W dodatku... byłem wówczas o trzydzieści bez mała lat młodszy, więc kiedy dzisiaj się czymś raduję, to muszę ostrożnie, bo mnie zaczyna łupać w kolanie. O, melancholio początków i końców!...

Jubileuszowy występ radiowego chóru Kajdasza przecież nie tylko uradował mnie, lecz i wzruszył. Do łez, czego mi nie wstydl! W programie były utwory polskie Bartłomieja Pękiela i Mikołaja Zielińskiego z XVII w., po czym od razu Krzysztofa Pendereckiego Miserere i Stabat Mater z „Pasji według św. Łukasza”. Że chór pod takim dyrygentem śpiewa precyzyjnie i wrażliwie jest na znaki mistrza, samo się przez się rozumie i dlatego starych kompozytorów słuchaliśmy tylko z przewidzianym z góry uznaniem.

Stabat Mater jednak, to był wstrząs! Chór tutaj ustawiony został przez Kajdasza także według reguł dramaturgii. Oni nie tylko śpiewali, ale i przeżywali bolesne wydarzenia pasyjne, a gdy się potem rozległo — po wytrzymanej i przeto też dramatycznej chwili ciszy — szeroko rozłożone, a prowadzone od mł do fff „Gloria”, podeszły mi łzy do oczu. Było to najbardziej przejmujące wykonanie owego utworu, o którym historia może powie, że był jedynym genialnym muzycznym w naszym czasie.

★

Chciałbym na chwilę jeszcze wrócić do początku, do owej energii kulturalnej Wrocławia, która pobudza do działań wielu, nawet z pozoru skromnych ludzi. Klubem Muzyki i Literatury kieruje tam Stefan Placek, co wziął sobie za zadanie stworzenie podstaw, aby można było na nich ufundować w mieście Muzeum Instrumentów. Własnym przemysłem i wysiłkiem umiał zgromadzić blisko setkę cytr, które były ludowym instrumentem dolnośląskim. Inny zbieracz ma tam ciekawą kolekcję starych lutni oraz podobnych instrumentów szarpanych. Jeszcze ktoś fortepian, na którym grał Szymanowski.

Podczas koncertu jubileuszowego chóru Kajdasza poznałem przystojnego wicewojewodę śląskiego, bo to jest pani Danuta Wielebińska. Obiecała sprawę drugiego w kraju po poznańskim, Śląskiego Muzeum Instrumentów poprzeć.

— Proszę, Pani Wojewodo! Spotkajmy się na otwarciu!...

16.VI.78

POLITYKA NR 24